

**Jarosław Bloch**

# **Ściema**

**Katowice 2012**

## **Nerwowy poranek**

Odgłosy dochodzące zza ściany aż kłują w uszy. Krzyki, wyzwiska, odgłosy tłuczonego szkła nie dają spokoju, sprawiają, że tracę sens czytanego artykułu w gazecie. Zaczynam więc od nowa, a krzyki nie ustają. Siłą rzeczy zaczynam myśleć, kto kogo, kto jest ten zły, jak można tak żyć? Ale nie, moja sprawa zagłuszana zostaje, jak zwykle, spuszczaną w klozecie wodą, odgłosem spadającego mydła, tarcieniem szczoteczki o zęby i znika zupełnie po pierwszym spojrzeniu na zegarek, karzącym zająć się własnymi sprawami, by u progu dnia nie dać znów dupy. Poza tym, mnie to nie dotyczy, choć wściekam się na znieczulicę prezentowaną w telewizyjnych programach, oburzam się, że niby tak nie można, a sam nie jestem lepszy. Ściema. Zastanawiam się czasami, jak bym zareagował, gdyby ktoś za ścianą zaczął nagle wołać „Pomocy, mordują!”? Czy też bym spuścił wodę w kiblu i powiedział policji, że długo pracuję, a gdy w końcu przychodzę do domu, to śpię? Wzorowy mąż i ojciec, głowa rodziny, a kto wie prawdę, temu nie patrzę w oczy.

Spieszę się. Przed wyjściem jak zwykle żegnám żonę i dzieci, dla których wiecznie nie mam czasu, których zaniedbuję wbrew mądrym zalecenióm psychologów

i pedagogów. Nie to żebym nie chciał inaczej, ale trudno być super-ojcem i super-mężem, gdy pracuje się szesnaście godzin na dobę. Żona narzeka, że niby jestem, a mnie nie ma, ale właściwie ona to rozumie, ale jak rozumie, to na cholerę narzeka. Cóż, jesteśmy zdecydowanie z innej planety, co można odnieść do ogółu mojej i jej płci. Więc prędzej czy później my, mężczyźni lądujemy na meczu, po kilku piwach, drąc się wniebogłosy, odreagowując zabrane nam polowania i wojny, natomiast kobiety żłopiają kawę z przyjaciółkami, obgadując wszystkich jak leci. I na nic tu emancypacja, równouprawnienie i inne tam bzdety. Rodzina oczywiście żegna mnie wylewnie, szczególnie trójka nieletnich. Znowu obiecuję sobie w myślach, że poświęcę im więcej czasu, chociaż sam w to chyba nie wierzę. I znów, jak co dzień, przechodzę przed swoją wiekową kamienicą przyspieszając kroku, choć to nadzwyczaj trudne, bo proces wybudzania organizmu jeszcze się nie zakończył.

W tramwaju przeglądam poranny numer Głosu Inteligenta, lecz nie jestem w stanie skupić się na czytanych tekście, gdyż nad głową wisi mi jedna baba, mruczając coś pod nosem o kulturze i wieku, ewidentnie podnosząc mi ciśnienie. Ukradkiem zerkam na nią i stwierdzam, że nie wstanę. Nie to

żebym był niekulturalny, przecież zawsze widząc babcię lub dziadka, czy też kobietę w ciąży, miejsca ustępuję. Ale owe monstrum, o kobiecym głosie, ma nie więcej niż czterdzieści pięć lat! Co prawda pot leje się z niej obficie, ale to raczej ze względu na tuszę, której z pewnością nabrała opychając się bez opamiętania ciastkami i pizzą, popijając (dla uspokojenia sumienia) środkiem odchudzającym zmieszany z colą (dla podniesienia walorów smakowych). Zresztą, siedzę na pojedynczym siedzeniu, a na jej tyłek co najmniej dwa stanowiłyby niezbędne minimum. Tak uspokojony zerkam wreszcie w ulubiony dziennik. Morderstwa, gwałty, korupcja, malwersacje finansowe, nasi przegrywają w co mogą, czyli wesoły poranek z gazetą, plus gadżet do gazety – broń gładko lufowa – z dopiskiem „Weź sprawy w swoje ręce”. Wśród natłoku nieciekawych informacji zaciekle szukam relacji z turnieju piłkarskich szóstek, w którym zajęliśmy z kumplami drugie miejsce. Zniecierpliwiony znajduję ją wreszcie w formie króciutkiej notki pomiędzy artykułem o brutalnym gwałcie emerytki spod Mysłowic a klepsydrą policjanta, który ostatnio zginał, bo bandzior nie musiał stosować przepisów prawa użycia broni.

Czytanie jakoś się nie klei, choć lubię lekturę gazet

w miejskich środkach komunikacji. Krajobraz za oknem znany, głowa niezaśmiecona jeszcze zawodowymi problemami, a już wolna od domowych, jednak pod warunkiem, że nikt mi nie bluzga nad uchem. Niestety dzisiaj znowu trafiłem na te niezdolnie małolaty, u których „kurwa” zastąpiła przecinek, kropkę, wykrzyknik, myślnik, a nawet znak zapytania. Zastanawiam się po co jada do tej szkoły, skoro i tak co druga skończy za parę lat z brzuchem i mężem bijącym w mordę, pozostającym prawdopodobnie na garnuszku opieki społecznej. Tak patrzę i patrzę, siłą rzeczy słucham. Po dziesięciu minutach wiem już kiedy, z kim, w jaki sposób, za ile, kto jutro. Dzisiaj takie mądre w swej niewiedzy i ignorancji, gwiazdy tramwajowe niemalże, a za parę lat sfrustrowane bezrobotne gospodynie domowe, które przez swój niewyparzony pysk miejsca w pracy nie zagrzeją i roztyją się spoglądając z wykrzywioną gębą na kobitki, którym się kiedyś chciało, i za którymi oglądają się dzisiaj ich mężowie. No a za kim mają się oglądać? Niekształtne tyłki od chyłkiem podjadanej czekolady i wieczny grymas niezadowolenia na twarzy, i te pretensje, wieczne pretensje o wszystko. „Dlaczego nie patrzysz na mnie tylko na telewizor?” A on patrzy w telewizor, aby nie patrzeć na nią. I tak do usranej śmierci. Patrzę więc i wiem to czego

one jeszcze nie wiedzą, a może też się nigdy nie dowiedzą, bo są beznadziejnie głupie. A tak swoją drogą to ciekawe, że selekcja naturalna premiuje właśnie takie beznadziejne jednostki. Będzie miała taka tuzin dzieci i jej geny przetrwają, gdy tymczasem moje będą już dawno włączone w obieg materii w przyrodzie. Widocznie to ja jestem nienormalny, jakiś niezdrowy odłam gatunku ludzkiego, któremu za bardzo wyrósł mózg, a przyroda jak wiadomo nie znosi skrajności. Zostaną szczury i głupki, wybiorą wodza, poleje się krew, nadmiar głupków zginie, i znów od nowa, aż do końca świata.

Jadę jednak dalej, wpatrując się w szybę. Widzę, że jak co dzień ustawia się kolejka pod okienkiem siostrzyczek służebniczek-frajerek. Siódma trzydzieści, to godzina, gdy z wszystkich ciemnych zakamarków miasta, wypływają nabrzmiałe pijackie ryje, łyse osiłki i ci, którzy mają wszystko w dupie, by zasiąść do darmowego koryta. Przy okienku rzucają jakąś ściemę i smacznego. Pełne brzuszki zaokrągłą się przekładając na całodniową aktywność. Jak tu bez śniadanka kraść samochody, włóczyć się po dzielnicy wypatrując, komu można by dać w mordę, klepać ósme dziecię, lub gapić się bezmyślnie w telewizor. Siostrzyczka życia nie zna, łyknie wszystko, byle tylko powiedzieć, że bida, matka staruszka

i wszystko wali się na łeb. Spoko, spoko, bez obaw, siostrzyczka nie pofatyguje się, by sprawdzić jak jej podopieczni szukają roboty lub dbają o rodzinę. Wydaje mi się, że spoglądając na mnie znudzonym wzrokiem mówią: „Te, frajer, i na chuj było się uczyć, jak tu państwo i kościół z głodu umrzeć nie dadzą, a i na piwko starczy, i na gromadę dzieciaków, by na starość wesoło było”. Wczoraj czytałem artykuł na temat pomocy socjalnej. Krew mnie nieomal zalała, gdy okazało się że taki leser lepiej wychodzi z kasą na koniec miesiąca ode mnie. Faktycznie frajer.

Nazywam się Obdartus i jestem belfrem, przedstawicielem zaszczytnej profesji pracującej podobno dla idei. Przedstawicielem bandy leni i nierobów, co to mają najwięcej urlopu i świetnie zarabiają, ku irytacji reszty społeczeństwa, które bynajmniej nie garnie się do tego by także uzyskać te wspaniałe bonusy. Po kilkunastu latach pracy myślę sobie, że jeżeli wierzyć w reinkarnację, to w poprzednim życiu musiałem być złym człowiekiem. Przestępcą może jakimś, lub krwawym dyktatorem, mającym na sumieniu setki kobiet i dzieci, malwersantem finansowym, albo piratem z Karaibów, który dla zysku zatopił statek z sierotami na wakacjach. Po tych kilkunastu latach wiem jedynie, że jestem znacznie bliżej

wariatkowa niż przeciętny człowiek i gdy kiedyś w końcu, być może, doczekam zasłużonej emerytury, przed szkołą czekać będzie na mnie dwóch tęgich pielęgniarzy, z kaftanem bezpieczeństwa, by zabrać to, co ze mnie pozostanie, do wesołego domu, w którym spotkam większość moich kolegów i koleżanek.

Dojeżdżam. Myślę sobie, że jestem jakoś agresywnie od rana nastawiony i muszę uważać, by nie powiedzieć czegoś głupiego szefostwu, lub co gorsza, swoim uczniom, którzy w dzisiejszych czasach mają tę niewygodną przypadłość, że wytkną każde potknięcie i powtórzą je starym (lub nagrają telefonem komórkowym). Człowiek się stara, lecz o tym cicho, a wystarczy jeden błąd, jedno niewłaściwe słowo i już huczy. Zobaczą bachory za parę lat, jak im będą nogi w robocie podstawiać i może zrobi im się głupio, gdy przypomną sobie, jak robili to samo swemu belfrowi. Ale co mi po tym, gdy w tym czasie mogę być już w psychiatryku, lub, w najlepszym przypadku, na rencie zdrowotnej. A starzy są teraz upierdliwi szkoda gadać. „Moje dziecko? – mówią zwykle – Mój ukochany Kubuś/Marysia pije? Pali skręty? Pruje się na przerwach i wszystko ma w dupie? Skądże, to chyba pomyłka, oto jego zdjęcie, śliczny bobasek, aniołek niemalże. Trochę



inaczej wygląda? Tak, tak, dawno go/jej nie widziałem. Praca, praca, szef ostatni kutas, kochanka w biurze, mało bywam w domu, a jak przyjeżdżam o północy, to dziecka jeszcze nie ma w domu. A może już nie ma? No, ale ma przecież już szesnaście lat. To pan profesorze się nie nadaje”.

Czytałem kiedyś o tym, że nauczyciel powinien być mistrzem dla swych uczniów. Taaa, tylko do mistrzostwa brakuje kasy. Gdy kasa jest chuda, nic się nie uda. „Profesorze, jaki pan dziś ślicznie obdarty. A ta marynareczka z drugiego obiegu? Prawie nie wytarta. Te spodenki na wagę, rok temu tak wyglądały moje firmówki, co je wyrzuciłem na śmietnik. A może to te? Chodzi pan po śmietnikach? No nie, proszę się nie wstydzić, wszyscy stanu niskiego chodzą. W końcu przy pańskich zarobkach profesorze Obdartus, to nie grzech trochę aluminium zebrać wieczorkiem”.

Pomiędzy jednym a drugim dzień dobry, przeciskam się w labiryncie samochodów, z których wysiadają moi podopieczni, którym to, co jakiś czas, staram się udowodnić wyższość komunikacji miejskiej nad własnymi czterema kółkami, zasłaniając się ekologią, stylem bycia, a właściwie mydląc im oczy i po części także sobie. Oni mrużą oczy, wysuwając różne kontrargumenty, lecz zapewniają, że niby

szanują moją decyzję, a tak naprawdę czytali ustawę i wiedzą, iż bilet miesięczny jest dla mnie rozwiązaniem, które najmniej rujnuje mój domowy budżet. Nie chcę nawet myśleć o tym, że w ich domach jestem stawiany za obiekt godny pożałowania, chodzący dowód na brak związku pomiędzy wykształceniem a kasą. Chodzący w dosłownym znaczeniu. „Popatrz synku w jakim kraju żyjesz, patrz chociażby na swego nauczyciela” – mówi mamusia przy śniadanku tłumacząc dlaczego tatusiowi jakiś obcy facet wsunął w rękę kopertę pełną zielonych. „To jemu też daj, bo matura tuż, tuż”, ale mamusia kiwa przecząco głową: „Nie synku, on ma zasady”, po czym następuje salwa śmiechu.

Mój refleks zostaje na chwilę wystawiony na próbę, gdy zatrzymuję się przed hamującym właśnie, lśniącym kabrioletem, w którym przypakowany sterydowiec, nie zwracając uwagi na to, żeomalże nie pozbawił mnie życia, idzie właśnie w ślinę z jedną z moich wychowanek. Widząc jego tępe spojrzenie i wyciosane mięśnie, nie reaguję, bo nie wiem czy zrozumie, a życie cenię bardzo. I jeszcze raz zadaję sobie pytanie o moje talenty wychowawcze, w świetle dzisiejszych obyczajów. Choć właściwie powinienem być wdzięczny opatrności, bo w tej oto chwili, w chwili

zagrożenia mojego życia, otarcia się o śmierć, staję przed niepowtarzalną szansą rozpoczęcia wszystkiego od nowa, zmiany zawodu, poglądów itd. Ku rozczarowaniu Stwórcy, nie rozpoczynam jednak nowego życia i wskakując na schody decyduję się kontynuować obecny żywot, czego mam dzisiaj wielokrotnie jeszcze żałować.